



ROMUALD BŁĄŻEWICZ

Strzelec Romuald Błażewicz, 47 lat, szewc, żonaty.

26 kwietnia 1940 roku usiłowałem przekroczyć granicę polsko-litewską, zostałem jednak przyłapany wraz z żoną, synem i dwiema córkami przez placówkę graniczną. Po zatrzymaniu odebrano nam wszystkie rzeczy, jakie mieliśmy ze sobą, gotówkę w wysokości 8 tys. rubli i odwieziono nas do więzienia w Lidzie. Tam byłem kilkakrotnie przesłuchiwany. Przesłuchania trwały po dwie – trzy godziny, przeważnie w nocy. Grożono mi rozstrzelaniem i pobiciem i w ten sposób wymuszano zeznania.

2 maja 1940 wywieźli mnie wraz z innymi więźniami do więzienia w Baranowiczach, żona i dzieci zostały w więzieniu w Lidzie. W Baranowiczach przesiedziałem do końca czerwca. Osadzono nas w celi, w której dawniej siedziało dwudziestu więźniów, a obecnie przeszło stu. Warunki higieniczne były bardzo złe: w celach brud, nie były wietrzone, bielizny nie zmieniano, więźniowie byli zawszeni, potrzeby fizjologiczne załatwiano w celi – zaduch, smród przepełniały powietrze. W Baranowiczach byłem kilka razy przesłuchiwany. Na przesłuchania przewożono pod strażą w zamkniętych samochodach do miasta do jakiegoś urzędu. Metoda przesłuchania nie różniła się od poprzedniej. Przed wysyłką z Baranowicz kazano nam oddać bieliznę jakoby do prania. Jednak ci, którzy usłuchali, więcej bielizny już nie otrzymali. Wkrótce nastąpił wyjazd do Orszy, dokąd przewieziono nas w zamkniętych wagonach towarowych, umieszczając w nich po 80 – 90 osób. Podróż trwała dwa dni. W tym czasie otrzymywaliśmy po 500 gramów chleba dziennie i trochę wody do picia. W Orszy dzień staliśmy na stacji, a następnie przeprowadzono nas pod silną eskortą do więzienia. Wśród więźniów wielu było starców i ludzi chorych, dwie osoby zmarły w wagonach, a wiele zachorowało – chorych musieliśmy przenosić na rękach do więzienia. W Orszy zaprowadzono nas na dziedziniec więzienny, gdzie przeprowadzono bardzo dokładną rewizję osobistą. Odbываła się ona w ten

sposób, że rozbierano wszystkich do naga, rozrywano ubrania i obuwie, zaglądano wszędzie, do uszu, ust. Rewizja trwała cały dzień, po czym posegregowali nas i umieścili w celach po przeszło sto osób. Cele były tak małe, że w żaden sposób nie mogliśmy się ułożyć do spania na podłodze na boku jeden przy drugim. W celi były tylko dwa małe okienka, od zewnątrz zabite koszami. „Kibel” znajdował się przy drzwiach i był tylko raz dziennie opróżniany. Zawsze w czasie dnia był przepełniony i nieczystości wylewały się na podłogę. W celi umieszczono także beczkę, do której wlewano wrzątek – *kipiatok*, co zwiększało jeszcze zaduch. Wikt otrzymywaliśmy trzy razy dziennie, a mianowicie: 500 gramów chleba, na śniadanie *kipiatok*, na obiad wodnista zupa, niedająca się dokładniej określić, na kolację taka sama zupa. Przesłuchiwania i tu trwały i to w nocy. Jeśli ktoś nie przyznawał się do zarzucanego mu przestępstwa, wsadzano go do celi w piwnicy, tzw. ciemnicy, pełnej wilgoci i wody; położyć się w niej nie było można, trzeba było stać przez całą noc. Często słyszano tam krzyki i jęki, co świadczy, że znęcano się nad więźniami.

Przed wyjazdem z Orszy kazano oddać wszelką ciepłą odzież i płaszcze, żeby niepotrzebnie nie zapełniać cel. Na wypadek dalszego transportu rzeczy te miały być natychmiast zwrócone. Tymczasem w dalszą drogę wyruszyliśmy jedynie w tym, co mieliśmy na sobie. Nikomu nie zwrócono zabranych rzeczy.

W końcu lipca 1940 roku załadowano nas do wagonów towarowych po 80 – 100 ludzi i transport ten został przewieziony do Kotłasu. Przed wyjazdem odczytano każdemu wyrok; ja zostałem osądzony na osiem lat prac przymusowych w obozach karnych. Z Orszy do Kotłasu jechaliśmy tydzień. Po przyjeździe na miejsce umieszczono nas w łagierze. Obóz ten otoczony był drutem kolczastym w kilka rzędów, po rogach ustawiono wieże obserwacyjne. Teren obozu podzielony był na tak zwane *zony* – strefy, oddzielone od siebie drutami kolczastymi. Wewnątrz takiej strefy stały baraki na 400 – 500 ludzi, tymczasem stale znajdowało się tam do 2 tys. ludzi, wobec czego większość łagierników sypiała na dworze, bez żadnych sienników i koców, których nie otrzymywaliśmy zupełnie. W Kotłasiu obóz był przejściowy, stąd wysyłano do obozów pracy. W obozie tym byłem trzy tygodnie. Warunki higieniczne były okropne. Latryny nie czyszczone, kał ludzki znajdował się na powierzchni. Setki ludzi chorowały na czerwonkę i inne choroby. Pomocy lekarskiej nie było. Były wypadki śmierci, lecz trupy natychmiast usuwano. Wikt [?] jak w więzieniu. Kąpieli nie było. Woda cuchnąca karbolem. Po trzech tygodniach załadowano nas na barkę w liczbie 350 ludzi, staliśmy jeden obok drugiego. Skład więźniów był rozmaity, wielu było

przestępców kryminalnych, którzy w czasie podróży okradali swych współtowarzyszy niedoli z ostatnich rzeczy. Żadnej pomocy ze strony straży nie mogliśmy otrzymać. Barką płynęliśmy cztery dni do jakiejś przystani, a stamtąd szliśmy pieszo cały dzień, otoczeni konwojem. Drodze nie wszyscy mogli podołać o własnych siłach. Jeśli ktoś upadł ze zmęczenia na tego puszczano psy, które niejednego dotkliwie pokąsały. Po pięciodniowym pobycie na wolnym powietrzu w [nieczytelne], załadowano nas na odkryte wagony i wieziono dalej na północ do miejscowości Uchta-Czibiu. Tutaj rozdzielono nas na grupy i w takiej grupie złożonej z pięćdziesięciu ludzi przewieziony zostałem do *sielchoz* Kiłtowa, Komi ASRR. Był tam rodzaj gospodarstwa rolnego, zamieszkaliśmy w barakach. W obozie tym było około 1,5 tys. ludzi, zajęcie nasze polegało na karczowaniu lasu. Norma wynosiła 125 merów kwadratowych powierzchni do wykarczowania w ciągu dnia.

W obozie tym przebywali Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi. Współżycie między więźniami było znośne, praca wykonywana pod strażą, w brygadach po 20 – 30 ludzi. Wyżywienie podzielone było na kotły, a jakość i ilość zależna była od wydajności pracy, względnie uzyskanych procentów. Jeśli ktoś nie wykonał 100 proc. normy, wówczas otrzymywał tylko 500 g chleba i litr wodnistej zupy dziennie. Ci, którzy wykonywali 100 proc. normy, otrzymywali pożywienie podług drugiego kotła: 900 g chleba, litr takiej samej zupy oraz porcja kaszy owsianej, średniej jakości. Praca powyżej 100 proc. normy uprawniała do korzystania z trzeciego kotła, który różnił się od drugiego tym, że do kaszy dodawano trochę tłuszczu (oleju).

Na miejscu była łaźnia, z której korzystano co dziesięć dni. Była też przychodnia lekarska, w której przyjmowano po pracy. Zwolnienie od pracy można było otrzymać w wypadku wysokiej temperatury. Raz lub dwa razy miesięcznie urządzano zebrania, na których omawiano obowiązek utrzymania ustalonego planu pracy oraz uprawiano propagandę komunistyczną.

Listy z kraju dochodziły, lecz były cenzurowane.

Miesięcznie umierało po pięć – sześć osób, zmarłych wywożono do [nieczytelne] lasu i chowano w nocy w nieobecności kolegów. Łagiernicy umierali przeważnie z wycieńczenia.

Z początkiem września 1941 roku zawiadomiono nas o zawarciu porozumienia polsko-sowieckiego oraz, że na podstawie tego porozumienia obywatele polscy zostaną zwolnieni. Jednak zwolnienia tak szybko nie otrzymaliśmy, dopiero po upływie miesiąca wyjechaliśmy



z tego obozu do innej miejscowości, gdzie nam wydano *udostowierienija*. Przy wydawaniu zaświadczeń namawiano nas, abyśmy wstępowali do Armii Czerwonej lub pozostali przy pracy, jednak nikt z nas nie zgodził się na te propozycje. Udaliśmy się na stację kolejową i wyjechaliśmy do Tocka [Tockoje], gdzie wstąpiliśmy do armii polskiej. Tutaj na razie nie przyjęto nas. Wtedy wyjechałem na roboty do lasu w czkałowskiej *obłasti*, bugurusłanskiij rejon. Pracowałem tam do lutego 1942, kiedy wyjechałem do Ługowej, gdzie przyjęto mnie do 10 Dywizji Piechoty.